

Radosław Lemański

Z Księgi Życia



HISTORIA SANTIAGO CORTEZA

dramat

Radosław Lemański
Historia Santiago Corteza

Radosław Lemański

Z Księgi Życia



HISTORIA SANTIAGO CORTEZA

dramat

Zdjęcie na okładce: Urszula Lemańska, fragment ikony,
The Church of Antirouniotissa, Kerkyra (Korfu) Grecja
Skład: www.mpress-freelancer.pl

Copyright© Radosław Lemański, Zielona Góra, 2012

Wszelkie prawa zastrzeżone.
All rights reserved.

e-Book Wydanie II
Zielona Góra 2012
ISBN: 978-83-935993-2-5

www.nadchmurami.pl

*Książka powstała dzięki inspiracji mojej ukochanej żony Uli.
Jej formę zawdzięczam niezwykłemu pamiętnikowi obozowemu
Abrahama Kajzera pt. „Za Drutami Śmierci”,
na wspomnieniach którego się w części oparłem,
a który powinien przeczytać każdy.*

Osoby dramatu:

Narrator 1: znajduje wpis w Księdze.

Narrator 2: bohater, Santiago Cortez.

Historia znalezienia Księgi (Prolog) jest opowiadana z głósniika przez niewidocznego Narratora 1.

Dopiero po odczytaniu tytułu „Historia Santiago Corteza” oświeitli się scena, a na niej ukaże się bohater, Narrator 2, Santiago Cortez.

Prolog

Pociąg wynurzył się z tunelu i przez okno wpadły promienie słońca, na chwilę oślepiając. Mimowolnie zmrużyłem oczy, a kiedy je otworzyłem, zobaczyłem książkę. Wydało mi się to dziwne, że wcześniej jej nie zauważyłem tym bardziej, że byłem w przedziale sam. Za oknem był już piękny poranek. Wraz ze słońcem rodziło się nowe życie. Promienie padły na książkę, ponownie ściągając moją uwagę. Wziąłem ją do ręki. Była stara. Oprawiona w ciemną, lekko wyblakłą już skórę, na okładce miała wygrawerowany rysunek wielkiego, złotego drzewa, a po obu jego stronach postaci kobiety i mężczyzny. Pod nimi widniał jeszcze jakiś symbol, przypominają-

cy koło sterowe statku wpisane w okrąg. Była to dość ciężka i stara księga, z wyraźnie pożółkłymi kartkami. Otworzyłem ją z ciekawością. Papier był bardzo dziwny. Nigdy jeszcze nie dotykałem takiego, choć przeczytałem wiele książek. Był wyraźnie stary, a jednak doskonale zachowany, coś w rodzaju papieru czerpanego lub papirusu. Na środku pierwszej strony przeczytałem tytuł: *Księga Życia*. Otworzyłem na kolejnej stronie i zobaczyłem napis w jakimś obcym języku. Wyglądało mi to na aramejski, ale pewności nie mam. Nie to było jednak ważne. Każda litera, słowo, zdanie jaśniało jakimś blaskiem, być może powodowała to złota czcionka. Mimowolnie wpatrywałem się w poszczególne słowa tworzące całość i, choć nie rozumiałem ich znaczenia, czułem, jak każde z nich do mnie przemawia. Każde słowo zapadało w serce...

Przeszły po mnie dreszcze. Zamknąłem *Księgę*. Czułem, że jest mi bardzo bliska. Spojrzałem za okno. Dzień zaczął się już na dobre. Mijane powoli sady zieleniły się, w oddali widać było klucze wracających ptaków, a wraz z nimi wracały na ziemię anioły.

Odwróciłem się do *Księgi*. Przyciągany niewidzialną siłą, znów chciałem ją otworzyć na pierwszej stronie, ale spotkała mnie niespodzianka.

Księga otworzyła się na końcu. Spróbowałem raz jeszcze zdziwiony, a potem jeszcze raz. Za każdym razem otwierałem na tym samym tekście. W końcu przyszło mi do głowy, że tak ma właśnie być. Tym bardziej, że tekst napisany był w znanym mi języku. Zacząłem czytać i po chwili sam nie wiedziałem kiedy, wciągnąłem się w ten tekst bez reszty.

Historia Santiago Corteza

Akt I

Słysząc odgłos jadącego pociągu. Pociąg zatrzymuje się. Z mroku, jakby ze światła wyłania się główny bohater Santiago Cortez w jasnej, prostej szacie. Opowiada do publiczności.

Na początku wydało mi się dziwne, że właśnie tu znalazłem Księgę. I to teraz, u kresu mej podróży, gdy wracam do domu. Do miejsca, z którego wyruszyłem. Szukałem jej przecież przez całe swoje życie, a znalazłem u jego kresu. Ale z drugiej strony dziwne jest to, że przestaliśmy się dziwić światu. Podziwiać go. Szanować jego istnienie. Zachwycać się nim. W ten sposób zapomnieliśmy, czym jest prawdziwa radość. Przestaliśmy dostrzegać cudowną magię chwili. Jej niezwykłość w zwykłych zdarzeniach. Więc czemu nie? Niektórzy nie budzą się wcale. Inni się budzą, ale wcale nie żyją. Mnie dane było narodzić się ponownie w połowie swego życia. Przypomnieć sobie. Odczytać zapisany w mej duszy przekaz, który dotyczył wyłącznie mnie samego, a oddawał

prawdę, kim jestem naprawdę. Wiem to dopiero teraz, ale jestem wdzięczy, że dane mi było zrozumieć.

Teraz, gdy przeczytałem historię poprzedniego Wędrowca zaczynam rozumieć, czym Księga jest. Zresztą przeczuwałem to wcześniej. Dużo, dużo wcześniej. Gdy zacząłem czytać i nagle objawił się przede mną niezwykle, piękny i ogromny świat wyobraźni. Potem, gdy sam zacząłem pisać. I to przez nią też pewnego dnia wyruszyłem w podróż. Wędrowkę, by odnaleźć zagubiony gdzieś po drodze początek zdarzeń.

Pojawia się (wyłania się z mroku) wewnątrz pokoju wypełnione książkami, które są dosłownie wszędzie. Widać nagrody na ścianach. Santiago siedzi przy swoim biurku.

Moje życie zaczęło się w kwiecie mego wieku. Widzę to teraz bardzo wyraźnie. Wówczas zacząłem się bardzo zastanawiać. Nad sobą, innymi, życiem i światem. A zwłaszcza nad marzeniami. Swoimi marzeniami, które czerpią wprost z niezmierzonego bogactwa westchnień milionów pragnień, jakie od wieków przelewają się przez ten świat. Ale czy marzenia są faktycznym motorem naszych działań, a ich spełnianie świadczy

o szczęśliwym życiu? Bo jeśli tak, to teraz, patrząc z perspektywy można by stwierdzić, że ja, Santiago Cortez byłem człowiekiem spełnionym. Mierząc powszechnie obowiązującymi miarkami należałoby dodać, że spełnionym w każdym calu. Miałem pieniądze, i to wystarczająco duże, by pozwolić sobie na życie godne i wygodne. Zdobyłem sławę, cokolwiek to oznacza, i w dodatku byłem raczej ogólnie dobrze odbierany. W zasadzie robiłem co chciałem i kiedy chciałem. Można by też rzec, że byłem jednym z tych nielicznych szczęśliwców, którzy mają poczucie społecznej misji do spełnienia. Bo byłem pisarzem. Pisarzem z powołania. Pisarzem, który spełnia swoje marzenia.

Mama często powtarzała mi, żeby do czegoś w życiu dojść, nie wystarczy się nachodzić, ale trzeba wszędzie dobrze się prezentować i mieć szczęście. Wydawało się, że ja miałem wiele szczęścia. Każda z moich książek była od razu wydawana. Każda cieszyła się uznaniem krytyki i czytelników. Przynosiła mi też przyzwoity dochód, który pozwalał nie martwić się o przyszłość. Podobno też po moim wyglądzie można było odgadnąć, czym się zajmuję. Nie powiem, zależało mi, by dobrze wyglądać. Natura obdarzyła mnie wysokim wzrostem, byłem szczupły, podobno przystojny, miałem długą, hodowaną przez

lata, białą brodę i często paliłem fajkę. Staralem się ubierać czysto i porządnie, co doceniały kobiety. Ach te kobiety. Z nimi przeżyłem wszystkie odcienie emocji. Więc miałem wszelkie powody, by czuć się człowiekiem spełnionym. Staralem się pisać rzeczy mądre i wartościowe, poprzez twórczość ucząc i wskazując, doradzając i napominając. Moją misją i celem była Prawda, pisana przez duże „P”, co oznaczało głównie prawdę – tajemnicę życia.

Nade wszystko szukałem w swym życiu tej prawdy. Tata powtarzał, że każdy prędzej czy później znajdzie to, czego szuka, musi tylko być w szukaniu cierpliwy. Szukałem więc wszędzie. Już od młodości, na szkolnych ławkach, starannie wkuwając regułki i wzory, wspomagany rytmicznym laniem linijką po pupie i łapach. W szafie na strychu, gdzie na długie godziny ukrywałem się z książką dla dorosłych, chowając przed pracą w domu i zjadając robaczywe jabłka. Potem pod spódnicami koleżanek ze szkoły, radośnie odkrywając zdumiewający świat anatomii. W świątyni, gdzie starałem się zrozumieć głos Stwórcy, ukryty w starych zwojach. W knajpach, w których po raz pierwszy doświadczałem odmiennych stanów świadomości. Aż później w swoim wymarzonym domku – samotni nad jeziorem, gdzie od czasu do

czasu zaszywałem się w poszukiwaniu weny sam albo z kolejną wielbicielką mojej twórczości. Wypatrywałem jej podczas licznych wojaży po świecie, gdzie mogłem prezentować swoją twórczość. Szukałem w mądrych słowach wielkich umysłów tego świata, z których kilku poznałem osobiście. Wreszcie szukałem jej w samym świecie literatury, a zwłaszcza wśród młodych i zdolnych pisarzy, którym mogłem pomóc objawić ich geniusz światu. To zaś, co znalazłem, poddawałem analizie własnych doświadczeń i opisywałem na różne sposoby w swoich publikacjach, chcąc oddać to, co w życiu najważniejsze.

Zawsze jednak coś mi umykało, jakiś kawałek prawdy. Dlatego znowu zabierałem się do szukania i w tym szukaniu cały się zatracalem, aż do powstania kolejnej książki.

I właśnie pewnego dnia, a dokładnie w dniu swoich pięćdziesiątych urodzin nagle zrozumiałem, dotarło do mnie, że w gruncie rzeczy tej Prawdy ani nie poznałem, ani nie oddałem. Może tylko zaledwie nieco się do niej przybliżyłem, ale na pewno nie mogę stwierdzić, że stałem się jej posiadaczem. Dotarło do mnie, że tak długo szukałem, aż umknęło mi życie! Nie wiadomo jak i dlaczego, wybiła mi pięćdziesiątka! A ja wciąż nie napisałem dzieła swego życia. Dzieła, o któ-

rym marzyłem od zawsze, a które oddałoby całą i tylko Prawdę. I to był dla mnie cios. Przez lata całe zbierałem i hodowałem całą mądrość świata tego, by wydać TO jedyne dzieło, a wydawałem zaledwie jego namiastki.

Pamiętam swoją pierwszą w życiu własną książkę. Była to wspaniała, niezwykła i magiczna bajka o wyprawie na jagody. Dostałem ją od taty, gdy wieczorem przyszedł z pracy. Wszedł do mnie do pokoju, spojrzał mi w oczy i powiedział:

– Dziś są twoje imieniny synku.

– Wiem tatuś.

– Mam coś dla ciebie – wyjął zza pazuchy książkę zawiniętą w szary papier.

To znaczy ja wiedziałem, że to jest książka. Domyśliłem się. I bardzo chciałem ją od razu przeczytać, ale nie mogłem. Było już późno, na dworze ciemno, a od czasu naszych, czyli moich i brata zabaw z ogniem rodzice nie trzymali w naszym pokoiku świec ani lamp.

Nie mogłem się wprost doczekać, aż będę mógł ją czytać. Nie spałem całą noc, czekając na rano, by z pierwszym nieśmiałym promykiem słońca, spośród szarości, mozolnie odczytywać poszczególne litery, sklejać je w słowa, potem zdania. A potem analizowałem całość z przepięknymi rysunkami, wśród których były elfy, krasnoludki

i wszystkie te stworzenia, które żyją tylko w dziecięcej wyobraźni. Byłem wzruszony. Chłonałem poszczególne słowa, a łzy same leciały mi po twarzy. I właśnie wtedy postanowiłem sobie, że będę pisał. Pisał o rzeczach najważniejszych, takich jak wyprawa na jagody, spotkanie z krasnoludkami, bitwa na kije, chodzenie w nowych butach, czy wyprawa z tatą na ryby.

Pragnienie to trwało całe moje życie. Aż do tej chwili, gdy dotkliwie sobie uświadomiłem, że mimo tylu wydanych słów, brak mi tej jednej, choćby najmniejszej książki życia, w której oddałbym całego siebie, przelał całą swą duszę, ukazując Prawdę. I nie o kolejną nagrodę mi chodziło – miałem ich wystarczająco wiele. Ale napisanie tej jednej książki życia było silnym wołaniem mej duszy, które narosło przez lata, a teraz dosłownie wybuchło, zupełnie mnie porażając. To był właśnie punkt zwrotny w moim życiu. I zapisane było, że w tym czasie zabrzmiał ostatni dzwonek na mej drodze. Dzwonek ostrzegawczy. Na znak, że dano mi kolejną szansę na nowe narodziny. Bo każdy człowiek powinien realizować to, co ma wyrazić swą duszą. Każdy powinien realizować siebie przez dane mu talenty, bo inaczej roztrwoni Boże dary, a i tak będzie musiał zacząć wędrówkę na nowo, przejść tym razem wskazaną mu ścieżką

życia i dokończyć to, co powinien.

Teraz to wiem. Wszystko to czuję i dobrze rozumiem. Lecz gdy wówczas usłyszałem dźwięk swej duszy, zamknąłem się w pokoju i siedziałem jak sparaliżowany, samotny i zamyślony, z głową w dłoniach. Myślałem o tych wszystkich blichtrach na swojej półce, jakie przyszło mi w życiu stworzyć.

Słowa, słowa, słowa. Niektóre zabawne, inne mądre i pożyteczne, wydmuchane, wychuchane, nabazgrane od niechcenia, byle jak. Napisałem tysiące słów, właściwie z każdego byłem zadowolony, ale żadne z nich nie było na tyle moje osobiste, prywatne, mocne i prawdziwe, bym mógł uznać je za ostateczne. A poza nimi tak naprawdę nie miałem nic własnego. Prócz tych rozpisanych na uwertury słów, nie miałem w gruncie rzeczy nic więcej. Byłem samotny jak palec. Nie licząc przygodnych romansów i kilku nietrwałych związków, z nikim nie związałem się na stałe. Miałem oczywiście wielu znajomych, a wśród nich wielu takich, którzy nazywali mnie swoim przyjacielem. Byłem jednak na tyle mądry, by wiedzieć, że zdecydowana większość z nich przyjaźni się ze mną tylko ze względu na to, że coś znaczę i mam kasę.

Czy więc mam prawdziwych przyjaciół? Takich, którzy są ze mną dla mnie samego, nie ze względu

du cały ten blichtr? – byłem pogrążony w takich rozważaniach, gdy zadzwonił telefon.

Rozmowa z głośnika.

– Cortez, przyjacielu nasz kochany, przyjdziemy jak zwykle, całą paczką i Marie będzie i Dominique pytała się o ciebie.

– Która to?

– Ta brunetka, wiesz, w czerwonej sukience, która dosiadła się do nas w barze i...

– A wiem już...

– Właśnie, i będziemy gdzieś o piątej, chcemy cię porwać, może do Blue Lagune...

– Nie wiem...

– Wszystko już przygotowane, słuchaj, będą wszyscy, nie ma wymówek. Wiesz, że musisz przyjść, to dla twojego dobra stary.

– Ale ja nie...

– Żadnych „Ale” stary, będziemy o piątej, cześć.

To właśnie byli moi przyjaciele, z którymi wcale nie miałem ochoty się teraz spotykać.

Jeszcze jakiś czas siedziałem tak przechylony, ze słuchawką przy uchu, nie bardzo wiedząc, co mam robić. Bo czy to są moi prawdziwi przyjaciele-

le? Znamy się od lat, wielu lat. Przeżyliśmy sporo fajnych chwil, ale przecież to nie zmienia faktu, że czuję się samotny. Od dawna. Kolejna brunetka – ładna i inteligentna, ale nic poza tym. Będą dwie znajome, które zdążyłem poznać całkiem dobrze. Z Marie zresztą zdążyłem naprawdę się zaprzyjaźnić. Ona jedna z tej paczki znała mnie całego. Dosłownie. Dobrze znała siłę koszmarów, które od czasu do czasu potrafiły mnie dręczyć nocami. Ja też ją znałem. Na tyle dobrze, by wiedzieć, że uczucie, które nas łączyło, nie było wystarczająco silne, by żyć długo i szczęśliwie. Dlatego teraz jest z naszym przyjacielem. A ja jestem znowu sam. I wciąż szukam, choć wiem, że szukanie moje jest pozorne. Nigdy nie znajdę drugiej ciebie i zawsze będę już samotny. Mimo tak wielu przyjaciół i znajomych, którym pozwoliłem już sobie na tyle się ze sobą oswoić, że wciąż pragną mnie zmieniać. Ale tak już jest z dobrymi przyjaciółmi, że pragną wszystko o tobie wiedzieć. A im więcej wiedzą, tym bardziej chcą ingerować w twoje życie. Zawsze dla twojego dobra. I czują się zawiedzeni, oszukani, gdy nie robisz co chcą. Dlatego niewielu miałem przyjaciół w życiu. Zbyt wiele wiedziałem. Też takich, którzy chcieli zmieniać wszystkich na siłę. Tacy są najgorsi.

Mój Boże, a ja wciąż szukam. Czekam. Jeszcze

siebie nie oddałem w pełni. Tylko czego? Na co czekam? Nie ocalałem siebie. Nie ocalałem ciebie. Przebacz mi Panie...

Santiago łapie się za serce. Wykrzywia twarz z bólu. Z głośnika rozlegają się dźwięki muzyki Enigmy „Return to Innocence”.

Pamiętam tylko, że dalej działałem jak w amoku. Rzuciłem słuchawkę na miejsce. Podeszedłem do szafy i spakowałem najpotrzebniejsze rzeczy. Zabrałem dokumenty i pieniądze. Wyszedłem z domu i ruszyłem przed siebie.

Światło na scenie gaśnie.